

# WESOŁY KURJEREK

ILLUSTROWANY.

Wychodzi dwa razy na miesiąc: 8 i 23-go.

Wszyscy prenumeratorowie Gońca i Iskry, czasopisma *ilustrowanego*, wychodzącego we Lwowie, otrzymują *Wesołego Kurjeka* zupełnie bezpłatnie. Również otrzymują bezpłatnie Dodatki. Prenumerata Gońca i Iskry wynosi kwartalnie 2 zbr. wraz z *Wesołym Kurjerkiem*.

Adres Redakcji i Administracji: we Lwowie, ulica Kraszackiego l. 23.

## Na slizgawce.



- Żeby sobie choć męża wyslizgać!...
- Trudno.
- Dlaczego?...
- Bo łatwo osiągnąć można z nim na lodzie...

## Jesień.

Czy znasz jesień, kochany czytelniku — jesień pośród szerokich pól, z jej nawałnicami, wiebrami, żółtymi liśćmi, wirującymi w powietrzu, ze ściżkami rozniekczonymi wilgocią, z zachodami słońca bladymi, jak uśmiech chorego, z kałużami pełnymi wody po drogach? czy znasz to wszystko?

Jeżeli widziałeś wszystkie te rzeczy, nie mogłeś pozostać obojętnym. Nienawidzi się ich, lub kocha bez upamiętania.

Należę do tych, którzy je kochają i oddałbym dwa lata za jedną jesień. Lubię zasiąść przed ogniem z psem pomiędzy kolanami i wpatrywać się w płomień, liżące starą kratę żelazną i rozświecające ciemne głębie. Słychać wiatr przebiegający po strychu, otwieranie dużych drzwi i psa, który warczy, ciągnąc łańcuch i pomimo szumu lasu, który pomrukuje, gnąc grzbiet, można rozróżnić ponure krakanie stada wron, waleczących z burzą. Deszcz sycze małe szyby; myślę o tych, co teraz są na dworze i przysuwam nogi do ognia. Przypomina mi się doktor, powożący się w małym kabrioletcie. Jego płaszcz ulatuje z wiatrem, koła kabrioletu grzezną w błocie, a stara klacz rży, idąc pod wiatr. Myślę o dwóch

żandarmach, z których kapeluszy leje się woda; widzę ich zmoczonych, zgarbionych, jadących ścieżką między winnicami na koniach, z których spadają ich niebieskie płaszcze. Myślę o spóźnionym myśliwym, biegnącym przez zarośla, którego ściga burza, jak kara zbrodnia i zwołującego psa, biedne zwierzę, brodzące w bagnach.

Biedny doktor, biedni żandarmi, biedny myśliwy!

Nagle drzwi otwierają się i malec wpada z okrzykiem!

— Kochany ojeze obiad podano!

Biedny doktor, biedni żandarmi!...

— Co jest na obiad?

Obrus biały. jak śnieg w grudniu, serwis błyszczący przy świetle lampy, dym z zupy zbiera się pod abażurem i przysłania światło, a jednocześnie rozchodzi się apetyczny zapach kapusty.

Biedny doktor, biedni żandarmi!...

Drzwi pozamykane, rolety szczelnie zasłonięte. Malec drapie się na krzesło, wyciąga szyję, by mu zawieszono serwetę i woła nieustannie, machając rękoma w powietrzu:

— Doskonała zupa z kapusty!

Uśmiecham się mimowoli sam do siebie i mówię:

— Ten smarkacz ma mój gust.

Mama zjawia się w tej chwili roz-

promieniona i zdejmując rękawiczki, mówi:

— Jest dziś coś, mój panie, co lubisz.

Jest to dzień, w którym u nas bywa bażant

Instynktownie odwracam głowę, by zobaczyć, czy stoi na kredensie omszała butelka starego szambertyna.

Bażant i szambertyn! Opatrzność stworzyła te dwie rzeczy dla siebie i moja zona nigdy ich nie rozdziela.

— Moje dzieci! jak tu u nas dobrze! — wołam, śmiejąc się z całego serca.

Wszyscy śmieją się wraz ze mną.

Biedni żandarmi! biedny doktor!...

Tak... lubię bardzo jesień, a mój malec ukochany lubi ją niemniej ode mnie i nie dla samej przyjemności wygrzewania się przy dobrym ogniu, lecz dla jej nawałnic, wichrów i zeschłych liści. Jest w tem wszystkim odrębny urok...

Ileż razy we dwóch przechadzaliśmy się po polach, pomimo zimna i groźnych chmur!

Byliśmy obaj dobrze odziani i w dużych butach.

Brałem go za rękę i puszczaaliśmy się na przygodę. Miał wówczas zaledwie pięć lat, a stapał, jak dorosły. Wielki Boże! temu już jest lat dwadzieścia pięć!

Szliśmy wąską drożyną, posypaną liśćmi wilgotnymi i zczerniałymi. Przez wysokie topole, nagie i szarawe, przebiegał horyzont i widzieliśmy z daleka pod niebieskim niebem, mającym po krańcach odcień żółtawy, pochylone dachy chat i czerwone kominy, z których wydobywały się niebieskawe strugi dymu, a wicher rozganiał je, jak warjat. Malec skakał z radości, przytrzymując ręką kapelusz, który miał ochotę ulecieć w powietrze i patrzył na mnie oczekami, błyszczącymi od łez. Jego policzki były czerwone z zimna, ale mimo to szedł ucieczony wiele obok mnie po wilgotnej łące, po której płynęła powiększona wyłewem rzeczka. Nie ma już róż, nenufarów, ani kwiecień nadbrzeżnego! Kilka krów brodzi w wilgotnej trawie i pasie się spokojnie.

W rowie pod wielką wierzba dwie dziewczynki, przyciśnięte do siebie, siedzą okryte jednym dużym płaszczem. Pilnują swych krów. Ich nogi na pół obnażone w zniszczonych sabotach, a małe zdrętwiałe z zimna twarzyczki wyglądają z pod wielkich kapturów.

Kiedy niekiedy szeroka kałuża wody, w której odbijało się blade niebo, prze-